



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Deotyma.

## JUBILEUSZ.

Są istoty obdarzone od Boga wielkimi zdolnościami, ale zdolności wówczas dopiero rozwijają się i wydają właściwe owoce, gdy są odpowiednio kształcone i pielęgnowane. W takich wyjątkowych warunkach wzrosła znakomita poetka, której jubileusz pracy literackiej obchodzimy obecnie.

Jadwiga Łuszczewska, znana pod pseudonimem Deotymy, była córką Wacława i Niny z Żółtowskich, których dom słynął przez długi czas w Warszawie z gościnności i był miejscem zbioru doborowego towarzystwa, bo spotykali się tam ci wszyscy, co inteligencją, talentem, nazwiskiem albo też położeniem społecznym wyróżniali się od ogółu.

Salon pani Łuszczewskiej, tak go bowiem nazywano, gdyż właściwie kobieta nadaje ton towarzystwu, dobiera je

i stanowi jego spójnię, przez długie lata przodował innym swoim odrębnym charakterem. Wstęp do niego był i trudnym i łatwym, trzeba bowiem było odznaczać się czemkolwiek w społeczeństwie, ażeby ten wstęp uzyskać. Każdy miał sobie za zaszczyt w nim bywać. Na poniedziałkach pani Niny, tak nazywała je cała Warszawa, rozbiegano wszystkie kwestye literackie, dobroczynne, artystyczne, jakimi zajmował się ogół; tutaj dojrzewały rozmaite projekta, które potem zostawały zniszczone za wpływem i staraniem gospodyni domu, używającej swych stosunków na doprowadzenie do skutku niejednego pożytecznego przedsięwzięcia.

Żaden ze znakomitych artystów, odwiedzających Warszawę, nie pominął salonu państwa Łuszczewskich, wirtuozzi dawali się tam słyszeć w kole wybranej inteligencji, literaci czytali swoje utwory, a uczeni tak niechętnie zwykle opuszczający swoje pracownie, odstępowali od swoich obyczajów i uczęszczali do domu, gdzie ich umiano ocenić i gdzie znajdowali dla siebie właściwe towarzystwo. Uprzejmi gospodarstwo dawali pilne baczenie, by każdy znalazł przyjemność w ich salonie, umieli każdego zająć, ośmielić, zapoznać z odpowiednimi mu osobami. Każdy też chwile spędzone w ich domu za najmiłsze uważał.

W takim to otoczeniu wzrastała młodziutka Deotyma, ukochana od rodziców rozumną miłością i kształcona starannie przez najpierwsze siły naukowe, według zdrowych zasad pedagogicznych, tak mało rozpowszechnionych wówczas, a niestety i dziś jeszcze więcej znanych z teorii niż z praktyki. Ażeby nie rozpraszać jej uwagi i wdrożyć do ścisłego wyrażania się i myślenia, uczono ją prócz rodzinnego, jednego tylko obcego języka, ale tego nauczono doskonale. Ponieważ nie okazywała talentu do muzyki, nie zajmowano drogiego czasu grą na fortepianie, która to nauka była obowiązkową w owym czasie dla każdej bez wyjątku panny z wyższego, i średniego towarzystwa.

Pani Łuszczewska nie pozwalała córce czytać powieści ani też czytać zbyt wiele, starannie dobierała jej książki i wymagała z nich ścisłego sprawozdania a tym sposobem nauczyła ją rzeczy rzadkiej bardzo u młodych osób, nauczyła ją czytać z pożytkiem, a jednocześnie poważna i gruntowna nauka rozszerzała zakres jej myśli i miała dostarczyć w następstwie obrazów i porównań, które zdumiewały w utworach młodziut-



kiego dziewczęcia, bo można śmiało powiedzieć, iż żadna dziedziną wiedzy ludzkiej nie była jej obcą.

Już pierwsze poezye Deotymy nosiły cechę dziwnej dojrzałości, a niebawem poetka zasłynęła jako improwizatorka, z niepojętą łatwością wygłaszając utwory na żądane tematy, w których doskonałość formy, walczyła o lepsze w wyrobioną myślą. Pamiętne są z tych czasów niektóre improwizacye pełne obrazowości, jak np. „Morze”, o którym poetka mówi, że ma ono srogość żywiołów, złośliwość szatanów, urok aniołów, i przemienność ludzi lub „Góry”, które charakteryzując poetka wypowiada piękny wiersz o szczytach Andów „pałających ciąglem fajerwerkiem” a kończy legendą o Gulgocie, która miała być grobem prapraojców rodu ludzkiego i pierwszych zarazem grzeszników — Adama i Ewy.

W tej epoce swojego poetycznego rozwoju, otoczona kochającą ją rodziną, gronem wiernych przyjaciół oraz gorących wielbicieli jej świetnego talentu, Deotyma odbyła kilka wycieczek. Była w górach S-to Krzyżkich, w Krakowie, w Gdańsku, a każda z tych podróży stała się dla niej źródłem natchnienia. Owocem wycieczki w S to Krzyżkie góry i piękne okolice Sandomierskiego było misterjum „Tomira,” osnute na legendzie przywiązanej do kłęzącego posągu z ciosowego kamienia, który znajduje się mniej więcej w połowie drogi wiodącej do kościoła św. Krzyża. Legenda twierdzi, iż posąg ten posuwa się ku górze i dopiero dojdzie do drzwi kościelnych, przy skończeniu świata, a wówczas skończy się także pokuta grzesznej istoty, która tysiące lat się ciągnęła.

W tejże samej wycieczce, ruiny zamku w Ogrodzieńcu, wywołały w przyszłości piękny dramat „Narzeczona z Ogrodzieńca”. Najbogatszy jednak plon wspomnień poczerpnęła Deotyma w Krakowie, tam to zapewne powstał w jej myśli dramat „Wanda”, nie mówiąc już o poemacie „Polska w pieśni”, do którego zewsząd zbierała obrazy.

Nawet podróż do Gdańska, opisana na razie w jednym z czasopism, wywołała parę lat temu śliczną powieść, pod tytułem: „Panienka z okienka” który to tytuł został zamieniony wprost na „Panienkę,” chociaż autorka ukazuje nam najprzód młodziczką bohaterkę, w obramowaniu starożytnego, okrągłego okna na najwyższym piętrze gdańskiego domu, i to okienko odgrywa następnie niemałą rolę w całym opowiadaniu.

Tym sposobem wychowanie jakie odebrała Deotyma, rozwinęło jej zmysł obserwacyjny, nauczyło korzystać ze wszystkiego, co napotykały oczy i stało się dzielną podporą twórczości.

Spokojne pasmo dni i prac młodej autorki przerwała kilkoletnia podróż na północ, którą odbyła z ukochanym ojcem; powróciwszy straciła wkrótce tego ojca a następnie i matkę.

Po długiej żałobie znalazłszy ukojenie w przyjaźni szczerzej i gorącej, rozpoczęła Deotyma samoistne życie. Jak dawniej poniedziałki pani Łuszczewskiej, tak teraz czwartki jej córki gromadziły i gromadzą dotąd inteligentne towarzystwo Warszawy. Z salonem jej łączy się bardzo wiele wspomnień naszych najznakomitszych mężów. Tutaj to obchodzono uroczyste jubileusz Antoniego Edwarda Odyńca, który był długoletnim przyjacielem i wielbicielem talentu Deotymy, tutaj oddawano zasłużoną cześć niezmordowanej pracy literackiej Adama Pługa, tu przyjmowano uroczyste wszystkie znakomitości nasze goszczące w Warszawie.

Deotyma umiała całym sercem oceniać talent i zasługi ludzi, z którymi nawet nie zgadzała się w zupełności pod względem przekonań. Dość było dla niej, gdy widziała dobrą wolę i chęć służenia społeczeństwu.

Stosunki towarzyskie nie przerywały Deotymie zajęć literackich. Oddawała im się zawsze z jednakim zapałem. Oprócz poezyi jednak zwróciła się do powieści. Głównem jej dziełem na tem polu jest powieść historyczna z XIII-go wieku: „Branki w jasyrze”, znana ze sprawozdania z licznymi wyjątkami, dawniejszym czytelnikom Wieczorów Rodzinnych.

Napisanie powieści z tak odległych czasów, osnutej na tle tatarskiego najazdu, wymagało niezmiernego trudu, trzeba było wiele przeczytać i zapamiętać ksiązek historycznych, ażeby odtworzyć obyczaje nie tylko naszego kraju, ale tak mało znanych Tatarów, bo słyneły oni tylko z łupiestwa. Ukazywali się nakształt groźnej burzy i znikali zostawiając po sobie trupy, dymiące zgliszczca, zniszczenie i rozpacz. Łatwo więc było opisać ich napad, ale wewnętrzne urządzenie hordy, jej obyczaje w czasie względnego pokoju, stosunki wzajemne, sposób życia, a chociażby tylko sam ubiór, wszystko to przedstawiało ogromne trudności, które autorka zwalczyła jedynie za pomocą wytrwałej pracy.

Deotyma pisała jeszcze kilka powieści, pomiędzy którymi prawdziwym klejnotem jest „Panienka”. Poznajemy tu dokładnie stary Gdańsk, jego mieszczaństwo, obyczaje, stosunki, urządzenia. Na tem tle, rysuje się śliczna i rzewna sielanka, której bohaterką jest zaginione dziecię, możnej rodziny, powrócone jej cudownym sposobem.

Najważniejszym jednak utworem poetki, nad którym pracuje ona niemal całe życie jest epopea o wyprawie Jana III-go pod Wiedeń. Epopea ta dotąd nieskończona tak jest piękną, iż ci co mieli sposobność poznać jej początek i ustępy, twierdzą, iż należy do prawdziwych arcydzieł literatury. Deotyma pracuje usilnie nad jej ukończeniem pomimo słabego zdrowia; zamiast myśleć o sobie, stara się jaknajlepiej użyć czasu dla ogólnego dobra.

Słusznie też bardzo rozliczne zasługi niepospolitej kobiecy i wielkiej poetki uczczono uroczystym jubileuszem.

## B A Ś Ń

### O W D O W I E I J E J T R Z E C H S Y N A C H .

p. Deotymę. \*)

Las się czernił het, daleko.  
W lesie stała chatka biała,  
Z gołębnikiem i pasieką.  
Półko przy niej kłosem plywa;  
W sadzie marszczą się warzywa;  
Jabłoń wstrząsa złote galki;  
Słoneczniki kręcą głową;  
A tu róże, a tam fiołki  
Szepczą cichą woni mową.

Chatka cała się uśmiecha;  
Jakby futro na niej strzecha,  
Bluszcz się zwiesza przez okienko,  
W drzwiach równianka dożynekowa.  
A w tej chacie żyła wdowa;

\*) Znane już są czytelnikom naszym niektóre utwory Deotymy, obecnie wspomniawszy o obchodzie jej jubileuszu, podajemy piękną baśń znakomitej poetki, której treścią jest miłość synowska, przecięciająca wszelkie przeszkody.



Tkała równo, przedła cienko,  
I kołacze piekła słodko;  
Wzór gosposi! — A przy wdowie  
Dorastali trzej synowie:  
Junak, Mądral i Dobrotko.

Junak chodzi z miną chwata;  
Nieraz rzekłbyś, że ma chrapkę  
Na wszystkie królestwa świata.  
Giętki, jakby pręt ze stali,  
Usta ma jak bicz koralu,  
I na bakier nosi czapkę.  
Żubra on za róg pochwyca;  
Pływa, jakby skrzela rybią;  
Strzały nigdy mu nie chybią,  
Choćby strzelał do księżycy.

Mądral za to starszych dziwi.  
Wzrok ma bystry, lica blade...  
Choć młodziuchny, ludzie siwi  
Idą nieraz doń po radę.  
Oj bo Mądral od lirników,  
Podróżników, czarowników,  
Dziwnej uczył się nauki.  
Zna on drogę gwiazd błękitną,  
Wie co znaczą grzmotu huki,  
Gdzie się gnieżdżą białe kruki,  
I kiedy paprocie kwitną.

Jasne włosy miał Dobrotko;  
Był nieśmiały, cichuteńki,  
Ale serce miał jak złotko,  
On pieczochem u mateńki.

I wesolo, jak wiewiórka.  
Żyła sobie skrzętna czwórka.  
Ale wszystko co pod słońcem,  
Zakończa się jakimś końcem;  
Lata nie służą nikomu.  
Wdowa codziennie włosy gładzi,  
Codziennie bielsze; coraz rzadziej  
Kluczykami brząka w domu.  
Próżno matkę trzej chłopacy  
Wyęcują, cieszą, strzegą,  
Czy od wieku, czy od pracy,  
Zaniemogła dnia jednego.  
I jak brzoza na jeziorze  
Coraz niżej się rozrasta,  
Tak na białe swoje łożo  
Pokłoniła się niewiasta.

Czarnym smutkiem zaszła chata...  
Od wsi do wsi Junak lata  
Po wróżbiarzy i guślarzy.  
Mądral w garczku zioła warzy

I próbuje zakłębć mocy.  
A Dobrotko matkę pieści,  
W dzień jej służy, a po nocy  
Opowiada jej powieści.

Śmierć mocniejsza od miłości.  
Wdowa leży coraz prościej,  
Z twarzy jej się farba starła...  
Usta zwarła — oczy zwarła —  
Bledła... cichła... i umarła.

Brzmią po lesie smutne głosy,  
Aż się liście pozwiły...  
Junak szlocha i rwie włosy,  
Mądral siedzi skamieniały,  
A Dobrotko płacze, płacze  
W jednej chatce trzy rozpacz!

Wieczór nadszedł; o wieczorze  
Co zgiełk taki znaczyć może?  
Trzeszczą łomy... grzmi po borze  
Krzyk tak pełen grózb i trwogi,  
Krzyk pół ludzki, a pół ptasi,  
Że się razem chłopcy nasi  
Zerwali na równe nogi.  
Z progę patrzą; nad drzew szczytem,  
Pod księżycem krążąc w okół,  
Z szumem skrzydeł, ze szpon zgrzytem,  
Toczą walkę sęp i sokół.

Złe spotkanie dla sokoła; —  
Sęp go drasnął... już go łowi...  
Sokół pierzcha, zmniejsza koła,  
Aż spuściwszy się jak chmura,  
Padł na łono Dobrotkowi.

Sęp się rozżarł... ostre pióra  
Najeżyły mu się czubem —  
We drzwi prosto mierzy lotem.  
Ale Mądral zręcznym zwrotem  
Drzwi zatrzasnął mu przed dziobem.

Junak dalej do cięgiwy!  
Strzelił z okna — sęp ucieka,  
Mdleje... pada — i, o dziwy!  
Ptak przemienia się w człowieka.

Jak u karła wzrost nie wielki,  
Lecz gruby jak u niedźwiedzi,  
Oczy skrzące jak węgielki,  
I strzępiasta broda z miedzi.

Junakową tkniętą strzałą,  
Ramię strasznie go bolało;  
Krwiał się za nim plami dróżka.  
Ryknął, zniknął między lasem.

A i w chacie dziw tymczasem:  
Sokół zmienił się w staruszkę.  
Ze sto lat mu pewno będzie,  
Tylko oczy jeszcze młode;  
W białych włosach ma żółędzie  
I do pasa srebrną brodę,  
Strój, podobny skórze rysiej,  
W kilka barw się na nim łamie;  
A fujarka mu przez ramię  
Na promyku słońca wisi.

Trzej chłopacy, osłupieli,  
Przy nim stali, spoglądali,  
Co to jeszcze będzie dalej?

Starzec siadł i mówi z ławy:  
„Dzieci, mnie się to podoba,  
Jak kto milezy, choć ciekawy.  
Więc wam powiem, że my oba  
Czarodzieje nie bez sławy.

„Nazwy nasze powiem cicho,  
Rzadko mówię je młodzieży;  
W nich zagadka życia leży:  
Jam jest Cetno, a on Licho.

„Oj, tamten, jak widzieliście,  
Nienawidzi mię bez miary!  
Bo ja wszystko chcę do pary,  
A on zawsze nieparzyście.

„Z dawien dawna, jak dwa wodze,  
Rządy świata-śmy objęli:  
Ja kojarzę, łączę, godzę,  
A on kłóci, tnie i dzieli.

„Pod kształtami tysiącznemi,  
Już walczyłem w ogniu, w wodzie,  
I w powietrzu i na ziemi,  
Z wrogiem o miedzianej brodzie.

„Dzisiaj chciał zakończyć dzieło.  
Dzieci! gdyby nie obrona  
Między wami znaleziona,  
Byłoby mnie Licho wzięło.

„Więc mnie o co chcecie proście:  
Nikt się nigdy nie uzali,  
Aby tacy jak ja goście  
Dług po drodze zostawiali.

(d. c. n.)

A. z Ch. Borkowska.

## PANNA MARYCHNA Z OPOROWA.

(Dalszy ciąg).

Po ukończeniu zajęcia około ozdoby domu, panna Marychna pospieszyła do swej komnatki na górze, gdzie wnet otoczyły ją małe siostry, rozpytujac ciekawie, jak to zwykle dzieci, co porabiała.

Były to śliczne pacholeta w różnym wieku. Najstarsza Cela czyli Celesta miała lat dwanaście, rysy bardzo kształtne,

cerę przezroczyście białą, ożywioną lekkim rumieńcem, duże błękitne oczy łagodnego wyrazu, niekiedy tylko jaśniejące promieniem wesela, który niemałego wdzięku dodawał cudnej tej dziewczeczce. Druga, dziesięcioletnia Antochna, miała matowo bladą twarzyczkę, krucze włosy, ciemno szafirowe oczy zwykle zamysłone i poważne, jak gdyby sięgając pamięcią



w przeszłość, odnajdowała w niej same smutne wspomnienia. Trzecia najmłodsza siostrzyczka, ośmioletnia Jadwichna, była jednym z tych dzieci — cherubów, o oczach błękitnych, niby bławatki, jaśniejących figlarnem weselem i życiem, które bywają pieszczotą rodziny i wszystkich otaczających.

— Dawno już bardzo nie widziałam cię, Marychno — rzekła, rzucając się na szyję siostry, a przecież obiecałaś, że weźmiesz nas z sobą, więc nie mogłam myśleć, że pójdziesz sama; gdzież tak długo byłaś?

— Ja to wiem — ozwała się Antochna — niech nam powie lepiej, czy prędko już król przyjedzie, bo widziałam przez okno, jak rozmawiała z ludźmi, którzy dom nasz stroili.

— A cóż oni o tem wiedzieć mogą? — rzekła, wzruszając ramionami Cela.

— Mogą, bo i po ulicach chodzą i zagląдают poza bramy — ciągnęła dalej Antochna.

— Nie spierajcie się drogie dziewczątka, bo czas uchoodzi, a wiemy zawsze, że król przyjedzie niezadługo, a im wcześniej wyjdziemy, tem prędzej napatrzycie się różnych śliczności, a jest co widzieć!

żywo na uboczu z jakimś człowiekiem w ubiorze mieszczan-  
skim. Zaniepokojona tem sama nie wiem czemu nie spuszcza,  
łam go z oka. Nie mogłam dojrzeć rysów jego towarzysza,  
bo miał mocno nasuniętą czapkę na czoło... nagle ktoś go po-  
pehnał, przechylił się w tył, i czapka spadła, a choć w lot ją  
pochwycił i znów na oczy nasunął, zdało mi się podobny jak  
dwie krople wody do komtura Ulrycha...

— Wielki Boże — zawołała Katarzyna, składając ręce,  
a toż dopiero odkrycie.. tak być musiało niezawodnie.. oni  
mają z sobą porozumienia. O, biedneż wy kochane dzieci moje!

— Nie trap się Kachno, bo żałować będę, żem ci to  
powiedziała... Wszak Bóg czuwa nad nami, a ojciec i dzia-  
dek otaczają nas swą pieczą z nieba. Bo co do matki — do-  
dała, lży ocierając — nie myli mię przeczucie, że modli się  
za nas jeszcze na ziemi. Bartosz, który wybaczyć sobie nie  
może, że się dał odegnać zbójom, a raczej życia nie położył  
w jej obronie, poprzyśiągł, jak wiesz, że ją odnaleźć musi;  
dziś właśnie powiedział mi, że napotkał jakiegoś dziadowinę,  
który bywał u nas dawniej i pamięta, żeśmy go ugościli, więc  
radby za to odwdziżyć. Mówił on, że słyszał o różnych



Wyroby jawańskie.

Dzieci nie kazały sobie powtarzać danego polecenia. Jęły zaraz wydobywać ze skrzyni odświętne jubki, a Marychna poszła tymczasem do wiernej Katarzyny, której nawykła była opowiadać wszystko, co przedsięwzięć miała, zasięgając od niej nieraz rady.

— Kachno moja — rzekła, zamykając za sobą drzwi i nad słuchując pilnie, azali niema kogoś w sieni. Przypuszczam znów na niejakej podstawie, że krewni nasi Krzyżacy (tak zwała Ulrycha i Alberta Giese) coś przeciw nam knują. Gwalbert, którego, jak wiesz, mimo mojej chęci tu umieścili z wielkiej, jak powiadają, o nas troskliwości, wyraźnie dzisiaj zdradził swą niechęć dla nowych rządów, bo gdy zajęta byłam rozmową z Bartoszem, który ciągle poszukuje śladów biednej mojej matki i ten zdawał mi sprawę z ostatniej swej wycieczki, on miasto zdobić doją nasz, jak mu to poleciłam, kłócił się z pachołkiem miejskim i gromadą ludzi na ulicy.

— Wiem przecież o tem, i gdyby nie twoja przytomność, moje dziecię, Bóg wie, do czego by przyszło — przerwała z westchnieniem Katarzyna.

— Ale na tem jeszcze nie koniec — ciągnęła dalej Marychna. Mrucząc coś opryskliwie na swe tłumaczenie, niewierny stróż ten, pomagał niby zrazu drugim, gdy wszakże ten i ów rozpoczął robotę, wcisnął się nieznacznie pomiędzy ludzi, którzy stali opodal i po chwili zauważyłam, iż rozmawiał bardzo

złych sprawach Ulrycha i teraz śledzić go będzie pilnie, wierząc, że coś wykryje, czem Bóg nas pocieszy.

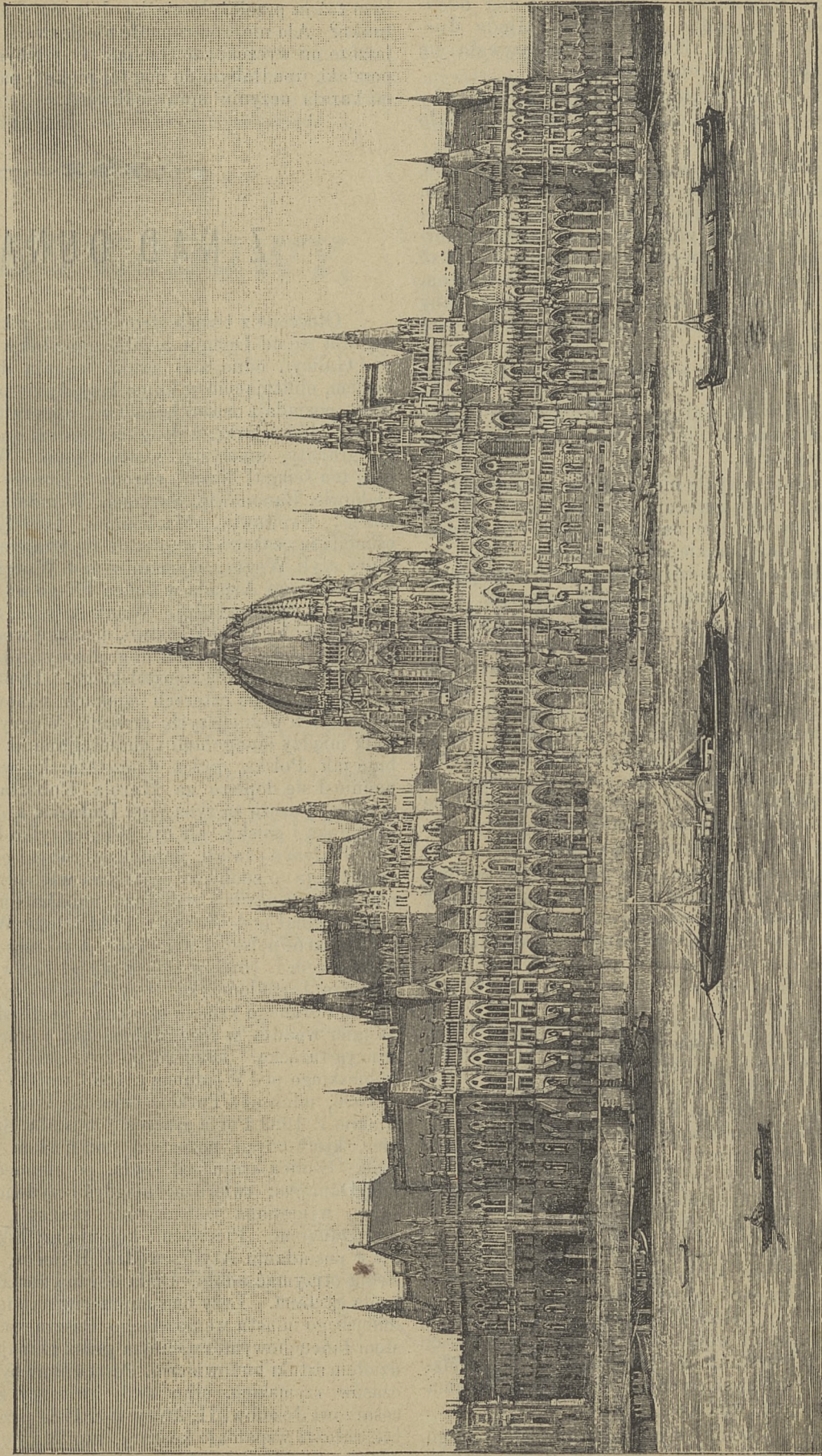
Aby zaznajomić lepiej czytelników naszych z historią panny Marychny z Oporowa, znaną im tylko pobieżnie z rozmowy przed jej domem burmistrza i rajcy, musimy się cofnąć w przeszłość.

Ojciec matki jej, pan Piotr Giese, potomek możnej mieszczan-  
skiej rodziny w Toruniu, lubo niemieckiego pochodzenia, całym sercem przyłgnął do kraju, w którym się urodził i pojął żonę.

Córkę więc swą jedyną wydał za pana Jakóba z Oporowa, dzielnego rycerza, i obaj wraz z zięciem poświęcili się sprawie wyzwolenia ziemi ojczyznej z pod jarzma krzyżackiego. Niedoczekali dnia upragnionego wyzwolenia, lecz niemniej przeto ściągnęli na siebie nienawiść Krzyżaków. Pana Piotra mieli szczególnie na oku, raz dlatego, że uważali go oni wpierw za swego, a potem, że pragnęli zagarnąć jego mienie. Najgorszych wrogów miał w synowcach swoich, Ulrychu i Albercie. Ulrych, jako rycerz zakonu, chciał zapewnić bratu dostatki stryja przez ożenienie go z Hanną, a gdy ta nadzieja go zawiodła, usunął się całkiem od niego. Po śmierci dopiero ojca i męża Hanny obaj bracia zbliżyli się do niej nanowo.

Przyjmowała ich z nietajonym wstrętem, tak, że niezadługo musieli zaniechać wszelkich nadziei doprowadzenia do





Gmach obrad sejmowych w Peszcie.



skutku swych zamiarów, choć może nie wyrzekali się ich w duchu, bo nie przestali odwiedzać wdowy i jej dzieci.

Od śmierci ukochanych swoich, pani Hanna zapadła w ciężką niemoc, cały więc zarządcę domu i opieka nad młodszymi siostrzyczkami przypadła Marychnie. Młoda dziewczeczka przy pomocy wiernej Katarzyny wywiązywała się z zadania tego z zadowoleniem otaczających.

Domownikom jej nie brakło niczego, a w razie choroby każdem z nich miał przyzwoite opatrzenie. Toż samo było i z ludem wiejskim.

Pilnowała wódarzy, aby się nie stała nikomu krzywda, opatrywała ubogich, dla których drzwi domu stały otworem, i wtedy to ów dziadowina, który obiecał swą pomoc Bartoszowi, zaniemógłszy we dworze, gdzie przyszedł szukać wsparcia, doznał jej opieki. Nad chorymi bowiem umiała czuwać troskliwie i gdyby w on czas były istniały siostry miłosierdzia, nadanoby jej pewno to miano. Rozdawała lekarstwa, niby medyk jaki, a ludzie zbiegali się po nie zarówno z jej własnych jak z okolicznych włości.

Pani Oporowska radowała się nie pomału roztropnością dziewczęcia.

— Sam Bóg już widać dał jej to rozgarnięcie — mawiała — aby potrafiła mię zastąpić, bo czuję, że niedługo już będę gościć pomiędzy wami...

Katarzyna ruszała zwykle niecierpliwie ramionami na te słowa, do niej najczęściej zwracane.

— Jejmość z umysłu chce nas trapić, mnie i te robaczki... czy i tak już nie dość gorzkie ich sieroctwo...

Tym razem wszakże sprawdziły się przeczucia strapionej matki, bo dzieci wkrótce pozbawione zostały jej opieki.

W kilka dni po nieszczęśliwym wypadku, który je osierocił, zjawił się w Toruniu Ulrych, ofiarował swą pomoc Marychnie w odszukaniu matki, zarówno jak we wszelkich innych sprawach, odrzucać jej nie było podobna. Dzieweczka więc, jakkolwiek niechętnie przyjęła ofiarowane sobie usługi i wzięła do domu swego Gwalberta, który wraz z innymi domownikami czuwać miał nad jej i sióstr jej bezpieczeństwem. Obudził on wszakże w otaczających, zarówno jak w młodej pani wstręt i nieufność. Obecnie zaś, gdy zdało się Marychnie, że porozumiewa się potajemnie z Ulrychem, nieufność ta połączoną została z największą obawą.

Naradziła się jeszcze z Katarzyną, jakby się go pozbyć, nie dając znać po sobie, że domyśla się w nim wroga, gdy trzy młodsze dziewczeczki wpadły, wołając aby szła z niemi prędzej na spotkanie króla, gdyż słychać już powitalne okrzyki poza bramą miejską.

Na czele królewskiego orszaku jechało sześć chorągwi nadwornych, poza niemi wojewodowie podzielonego na cztery województwa kraju: Gabryel Baisen chełmiński, Scibor Baisen elbląski, Hans Baisen gdański i August Schewe królewiecki, dalej biskupi: władysławski Jan Gruszczyński i poznański Andrzej z Bnina, oraz wojewoda krakowski i niezliczona moc kasztelanów, starostów, oraz innych dygnitarzy, otaczających króla i królowę, poza którymi był jeszcze kanclerz, podkanclerzy i inni urzędnicy dworscy, na ostatku zaś drugie sześć chorągwi zamykało cały pochód.

Odprawiwszy ten wjazd uroczysty wśród radosnych pozdrowiających go okrzyków, król zasiadł na złocistym tronie przygotowanym w rynku obok młodzicznej królowej, której białe czoło pochyliło się zlekka pod ciężarem zdobiących je klejnotów. Wystąpił wtedy wojewoda Gabryel Baisen i wraz z poczetem rycerstwa i wysłańcami miast nowego województwa, złożony w stóp królewskich chorągwie na znak uznania władzy, wykonał przysięgę wierności.

Król przemawiał potem łaskawie do otaczających go mieszczan i panów. Każdy z kolei miał tu wolny dostęp, i niejeden przekładał prośby swoje i wytaczał skargi na krzywdy doznane, a pan wszystkich wysłuchiwał dobrotliwie i jak ojciec prawdziwy użalał się nad każdego strapieniem. Pani Marychna z siostrami swemi stała w pobliżu na umyślnie

na ten cel urządzonem wzniesieniu. Błada zazwyczaj jej twarzyczka, gorącym teraz pałała rumieńcem.

— Wszyscy oni — myślała — odchodzą pocieszeni, a gdybym też ja przełożyła ciężką dolę moją, żądając pomocy i ratunku? Ale nie, roztropność nie pozwala czynić tego obecnie, jeszcze mi wyczekiwać trzeba... O, gdybym tylko miała pewne poszlaki, upadłabym do nóg tej pięknej pani i prosiłabym, aby mi kazała uczynić sprawiedliwość...

(d. c. n.)

## Z NAD DUNAJU.

Otoczone z trzech stron górami, z których Karpaty pozycynają się od Dunaju, a zataczając łuk ku Morawii, Szląskowi i Galicyi, odnogami swemi sięgają do Cisy, Węgry są krajem, obfitującym w bujne lasy, żyzne pola, urodzajne winnice, posiadają nadto bogactwa mineralne, jak sól, żelazo, miedź, ołów, siarkę; z drogich kamieni znajdują się tam opale, granaty, ametysty, agaty i inne. W dawnych czasach kraj ten ściągał liczne narody z Europy i Azji zachodniej: Dakowie, Panonowie, Sarmaci, Wandalowie, Awary, Hunnowie, Swewowie, Markomani, Gepidy, Gotowie i t. d. osiadali tu czasowo i wypierali się wzajemnie, póki wreszcie Ugry czyli Węgry, wygnani z nad Wołgi, pod wodzą Almusa i syna jego Arpada w końcu IX-go wieku nie zagarnęli tej ziemi pod swoją władzę. Wnuk Arpada, Stefan, zaprowadził w Węgrzech chrześcijaństwo, a naukę wiary św. szerzył z taką gorliwością, że został nagrodzony za to przez papieża koroną i mianem króla apostolskiego. Dynastia Arpadów wygasła dopiero po czterech wiekach panowania. Za niej już jednak i w późniejszych czasach Węgry bywały widownią walk między mongołami i chrześcijanami; spustoszony, podobnie jak Polska, przez dzicz tatarską w XIII w., kraj ten podniósł się dopiero za Karola Roberta andegawskiego, a więcej jeszcze za syna jego Ludwika, który połączył koronę węgierską i polską, ale dla Węgier tylko był wielkim monarchą, dbałym o oświatę, handel, dobrobyt i potęgę kraju. Turcy, zamyślając o zdobyci cesarstwa wschodniego z Konstantynopolem, ponawiali zaborcze napaści na Węgry; w walce z nimi zginął pod Warną r. 1444 młody Władysław, syn Jagiełły, król polski i węgierski, a po nieszczęsnej bitwie pod Mochaczem r. 1526, w której poległ Ludwik II-gi, wnuk Kazimierza Jagiellończyka, a syn królewicza polskiego Władysława, obranego królem czeskim i węgierskim, większa część Węgier wpadła w ręce Mahometan i przez lat 160 była prowincją turecką. Dopiero po zwycięstwie, odniesionem przez Sobieskiego pod Wiedniem r. 1683, wojska cesarza Leopolda I r. 1696, odebrały Turkom twierdzę Bude, a pokojem Karłowickim r. 1699 Porta zrzec się musiała Siedmiogrodu i Węgier, które odtąd pozostają pod berłem cesarzy austriackich. Stolicą kraju jest Buda, po niemiecku Ofen, położona nad Dunajem; twierdza, niegdyś rezydencja królów węgierskich, wzniesiona jest na górze skalistej, 192 stóp wysokiej, nad Dunajem. Pierwotnie kolonia rzymska, później czas jakiś w posiadaniu Atylli, wodza Hunnów, od którego nazwę swoją otrzymała, Buda obraną została za stolicę przez króla Stefana. Leży ona naprzeciw najpiękniejszego i najludniejszego miasta węgierskiego Pesztu, połączona z nim mostem łańcuchowym, rzuconym przez Dunaj, a będącym arcydziełem sztuki budowniczej. Peszt znany był już jako osada za czasów rzymskich, stan swój kwitnący zawdzięcza głównie cesarzowi Józefowi II, który w r. 1784 przeniósł tu uniwersytet, założył wspaniałe koszary, szpitale wojskowe i uczynił to miasto punktem centralnym Węgier. Odtąd Buda-Peszt podnosi się i rozwija ciągle, a po Wiedniu Peszt zajmuje pierwsze miejsce w handlu Austrii, do czego przyczynia się wiele ułatwiona żegluga po malowniczym i modrym Dunaju. W r. 1872 prawo sejmowe nadane zostało Pesztowi, i nieba-



wem też do okazałych gmachów stolicy węgierskiej przybył gmach obrad sejmowych, który przedstawia nasza rycina. Należy on do najwspanialszych budowli, w ostatnich czasach wzniesionych; na zewnątrz zajmuje 17,145 metrów kwadr. ma długości 268, a wysokości 25 metrów. Kopuła wznosi się na 74, wieża na 65 metr. Gmach ten posiada 2000 okien, 700 drzwi i 21 bram. W obszernych i świetnie urządzonych salach tego budynku, zdumiewającego wielkością i okazałością swoją, odbywają się obrady sejmu węgierskiego.

## SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

— Co więcej, same nawet Stany Zjednoczone popierają wyprawę Karola Wilkes'a.

— Stany Zjednoczone, mówisz pan? Twierdzisz, że est przedsięwziętą wyprawa do mórz antarktycznych? Czy to rzecz pewna?

— Najpewniejsza w świecie. Jeszcze bowiem przeszłego roku, przed moim wyjazdem z Ameryki, dobrze we wszystko zaopatrzone okręt wypłynął w tym celu na morze, i w obecnej chwili, mając rok cały za sobą, kto wie czy śmiały Wilkes nie posunął się już znacznie dalej od wszystkich poprzedników swoich, którzy kiedykolwiek tą samą co on podążali drogą.

Kapitan pogrążył się znowu w zadumę, a po chwili rzekł:

— Jeżeli wszakże Wilkes zdoła przebyć koło biegunowe i lodowce tamujące dalsze ruchy podróżnych, w każdym razie wątpię, aby posunął się dalej aniżeli...

— Niżli Belinghausen, Forster, Kendall, Biscoë, Morrell, Kemp i Balleny... — zakończyłem.

— I niżli... — z widocznym wahaniem wtrącił kapitan.

— Któż jeszcze? — zapytałem.

— Pan pochodzisz z Connecticut — zagadnął nagle, przerywając dawny tok rozmowy.

— Tak — odpowiedziałem, zdumiony tym zwrotem.

— Z jakiej miejscowości? — pytał dalej.

— Z Providence.

— Czy zna pan wyspę Nautucket?

— Zwiedziłem ją kilka razy.

— Sądzę, że wiesz pan — mówił dalej kapitan, patrząc mi prosto w oczy — iż to tam właśnie wasz romansopisarz Edgar Poe, wskazał miejsce urodzenia bohatera swego Artura Pryma.

— W rzeczy samej — potwierdziłem — przypominam sobie, że powieść owa rozpoczyna się na tej wyspie.

— Mówisz pan „powieść”, czy uważasz, że dobrze tak określiłeś to dzieło?

— Bezwątpienia.

— Więc sądzisz mylnie, jak prawie wszyscy ludzie... Ale wybacz pan, niepodobna mi dłużej tu pozostać. Żałuję — szczerze żałuję... proszę mi wierzyć, gdybym tylko mógł... Zresztą nie będziesz pan długo czekał, niebawem przybędą kupieckie i rybackie statki, będziesz pan miał wybór wielki, z tą pożądaną pewnością dla każdego podróżnego, że cię zawiozą tam, gdzie cię obowiązki wzywają. Co do mnie, powtarzam, żałuję bardzo, i żegnaj pana!

Z temi słowy opuścił mię kapitan Len Guy, kończąc w sposób grzeczny, lecz stanowczy naszą rozmowę.

Ponieważ byłoby wprost nierozumnym, upierać się w dalszym ciągu przy tem, co mi stawione zostało jako niemożliwe, dałem więc za wygraną i począłem się godzić z myślą, że Halbran opuści port Christmas nie zabrawszy mię na swój pokład. Lecz mimo rozumowania, nie mogłem się oprzeć uczuciu niechęci względem kapitana, którego postać przedstawiła mi się nadto dziwnie niejasno i zagadkowo.

Ciekawość moja została niezwykle podrażnioną. Przeczuwając ukrywającą się na dnie duszy marynarza jakowąś tajemnicę, zapragnąłem ją zgłębić i to tem usilniej, im większe ku temu znalazłem przeszkody.

Również jak ja niezadowolony, chociaż z innych powodów, oberżysta Atkins przysiadł się do mnie w czasie obiadu i dowiedziawszy się o danej mi stanowczej, odmowie począł szeroko się rozwódzić, jakiego doznał zawodu z przyczyny małej sprzedaży i kupna, jak za oczywistym zakazem, cała załoga nie opuszcza statku, jak nikt z marynarzy prócz jednego Hurliguerly, nie zajął nawet do oberży, na czem wszystkiem on, Atkins, ponosi znaczne straty.

Wzmianka ostatnia przypomniła mi znowu obietnicę bosmana. Czy jednak i on napróżno starał się skłonić ku memu żądaniu decyzję kapitana, nie mogłem się dowiedzieć, gdyż Hurliguerly nie pokazał się więcej i przez trzy dni następne t. j. 10, 11 i 12 sierpnia, wszyscy na żaglowcu w ciągłym zostawali ruchu, jedni zajęci znoszeniem lub pakowaniem towaru, inni znowu obowiązkiem zbadania stanu masztów, żagli i całego statku.

Czynności te odbywały się cicho, systematycznie, bez nawoływań i tak ogólnego w podobnych razach zamieszania.

— Widocznie załoga Halbranu trzymaną jest w niezwykle surowej dyscyplinie — myślałem sobie, patrząc na stojący w zatoce statek, który, jak mię powiadomił Atkins, już 15-go miał podnieść kotwicę.

W przechadzkach mych zdarzyło mi się kilkakrotnie spotkać kapitana, lecz mijaliśmy się zawsze jak obcy sobie ludzie. Zauważyłem wszakże raz, pewne z jego strony wahanie, jak gdyby miał zamiar zatrzymać się i coś przemówić, nie uczynił jednak tego, a ja z mej strony nie myślałem już wcale o ponowieniu mej prośby. Było mi nawet nieprzyjemnie, gdy uprzejmy oberżysta wyznał mi, iż jeszcze raz, choć znowu napróżno, usiłował wytłomaczyć kapitanowi niepojęty w tym względzie upór jego. Hurliguerly jednak utrzymywał podobno, że nie uważał mej sprawy za zupełnie przegraną, bo znając kapitana, wie, iż tenże dotąd ostatniego nie powiedział jeszcze słowa.

Bądź jak bądź, to wszystko uprzykrzyło mi się w końcu do tego stopnia, że najchętniej zwracałem myśli w innym kierunku, zdecydowany stanowczo poczekać za innym okrętem.

Jednakże widocznie zapisanem było w mej księdze przeznaczeń, bym opuścił Kerguelen właśnie, jako pasażer żaglowca Halbran, co mię wprowadzić miało w czynny udział wydarzeń tak nadzwyczajnych, o jakich do owej pory w kronikach żeglugi morskiej, nie było nawet przybliżonej wzmianki.

Wieczorem dnia 14 sierpnia, gdy mimo cienia nocy, ponieważ powietrze było suche, a niebo zasiane gwiazdami, używałem jeszcze poobiedniej przechadzki nad brzegiem przystani, zbliżył się ku mnie człowiek jakiś, którego z razu w ciemności poznać nie mogłem, lecz którego zdradził głos podobny do szeptu:

— Panie Jeorling, jutro Halbran rozwija żagle, jutro rano z odpływem morza... mówił kapitan.

— Zhyteczną jest mi ta wiadomość — odparłem — ponieważ pan odmówił mi...

— Namysliłem się, i właśnie przychodzę powiedzieć panu, abyś, jeżeli zechcesz, stawił się o godzinie 7-ej rano na pokładzie mego statku...

— Dziękuję kapitanie, postaram się być punktualnym.

— Kajuta jest przygotowaną...

— Co się tyczy opłaty — zacząłem.

— To rzecz najmniejszej wagi, załatwimy to później. A zatem do widzenia!



— Do widzenia! — powtórzyłem i wyciągnąłem rękę, aby uściskać dłoń kapitana, czego jednak prawdopodobnie w ciemności nie dojrzał, bo zwrócił się spiesznie do łodzi, oczekującej go u brzegu.

Jeszcze pod pierwszym wrażeniem tej nagłej zmiany, podążyłem do oberży, gdzie nie omieszkał zawiadomić Atkinsa o tym jutrzejszym wyjeździe.

— Ho, ho, ten stary lis Huliguerly, miał jednak słuszość — zawołał oberżysta — widocznie zna on dobrze swego pana, który miewa kaprysy źle wychowanej dziewczyny! Tak czy owak wszakże, pragnienie pana bliskim jest spełnienia; pozostaje mi więc tylko życzyć mu szczęśliwej przeprawy, jeśli jeszcze tam na statku nie zmienią decyzji, choćby w ostatniej godzinie; po nich bowiem wszystkiego, jak widzę teraz, spodziewać się można!..

Obawy tej nie podzielałem wcale. Co więcej, pod wpływem głębszego namysłu, przyszedłem do przekonania, że istnieć muszą jakieś nieznane mi powody, które wpłynęły na tak wyraźne ustępstwo ze strony kapisana Len Guy i pewny byłem, że niedaleka przyszłość dozwoli mi je poznać.

Przygotowania moje do drogi nie wymagały dużo czasu, podróżując bowiem wiele doszedłem do wprawy obarczania się jak najmniejszym bagażem. Oczywiście tym razem, najwięcej miejsca zabrały ciepłe, futrzane ubrania, w które dla mroźnego klimatu z konieczności zaopatrzyć się wypadało.

Nazajutrz więc, równo ze wschodem słońca, pożegnałem Atkinsa, mego dzielnego współzionka, dziękując mu szczerze za doznaną gościnność na tych wyspach „Smutku”. Uprzejmy gospodarz towarzyszył mi aż na pokład statku i nie zaniedbał polecić mi opiece bosmana, który już widocznie czekał tam na moje przybycie, a wyraz tryumfu i zadowolenia jaśniał na jego twarzy.

— A co, czym próżną dawał obietnicę? Ho, ho! Dużo tu trzeba było zachodu i perswazyi... Ale od czego głowa bosmana! — Przechwalał się marynarz.

Mimo, że nie bardzo wierzył, aby wpływ jego choć w najmniejszej rzeczy, podziałał na zmianę postanowienia kapitana, podziękowałem mu wszakże uprzejmie, ponawiając dawniej przyrzeczoną nagrodę.

— Za chwilę Halbran podniesie kotwicę, a ja znajduję się na jego pokładzie, to mi wystarcza na teraz! — pomyślałem z wielkim zadowoleniem.

Tymczasem ruch towarzyszący zwykle chwili odjazdu zajął wszystkich; majtkowie rozpinali żagle, a porucznik stojący na pokładzie wydawał rozkazy, odnośnie do ostatecznych czynności.

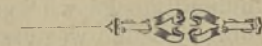
— Do widzenia! — rzekł uprzejmie oberżysta, zbliżając się do kapitana — do widzenia w roku przyszyłem!

— Do widzenia, z Bożą pomocą, panie Atkins — odpowiedział tenże i podając swą rękę do pożegnania uścisku.

Jeszcze jedno mniej już ceremonialne pożegnanie z bosmanem, jeszcze jedno zwrócone ku mnie skinienie głowy, i pocziwy Atkins opuścił Halbran, którego wysmukły korpus wnet drgnął cały, i gdy lekki wietrzyk wzdął białe jego żagle, jak skrzydła olbrzymiego ptaka, wypłynęliśmy z portu

Christmas na pełne morze, i zanim słońce doszło do zenitu, zniknęły już w dali śmieżne wierzchołki „Table Mount” i „Hawergal” wznoszące się na wyspie Kerguelen jeden na dwa, drugi na trzy tysiące stóp nad poziom morza.

(d. c. n.)

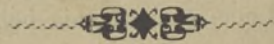


## Wyroby Jawańskie.

Uczony podróżnik francuski, p. A. Tissandier, przebywając w celach naukowych czas dłuższy na Wschodzie, napisał ciekawą książkę o Kochinchinie i wyspie Jawie, w której obok opisów kraju i ludności, podał zajmujące szczegóły o zabawkach sztuki dawniejszej i wyrobach nowoczesnego przemysłu, które poznał u tych ludów rasy żółtej, odznaczających się bujną fantazyą i nadzwyczajną drobiazgowością w wykończeniu szczegółów.

Z dzieła tego podajemy czytelnikom jeden z wielu przykładów tej cierpliwości i drobiazgowości, jakiej dowody znajdujemy w opisie fabryki barwnych, a oryginalnością rysunku i kolorów odznaczających się tkanin, które w języku miejscowym pod nazwą *sorrong* są znane. Fabryka ta zajmuje znaczną liczbę robotników, przedewszystkiem zaś kobiet, mimo, że materiału, zwanego u nas perkalem, nie wyrabia, a jedynie zdobi go wzorzystymi rysunkami.

Uzdolnione więc w rysunku robotnice zajmują główną salę budynku, gdzie rozpinają na krosnach dwumetrowy kawał perkalu, na którym rysują fantastyczne wzory, poczem inne robotnice pokrywają cieniutką warstwą rozpuszczonego wosku, do czego używają maszynki blaszanej, w której wosk topi się na ogniu, a która z przeciwniej strony uszka ma cieniutką rurkę, przepuszczającą tylko kropelkę po kropelce wrzącego płynu. Załączona rycina podaje wzór tak przysposobionego materiału, który następnie składa się do naczynia, napełnionego farbą np. czerwoną. Po jakimś czasie farba przesiąka na wskroś tkaninę, lecz tylko w miejscach niepokrytych woskiem; więc też po wyjściu jej z tej kąpieli i wysuszeniu, a następnie usunięciu wosku ukazuje się na tle czerwonym grubo rysunek biały. Jeżeli dodane być mają ozdoby niebieskie, należy znowu wedle wykreślonych linii pokryć wszystko woskiem, prócz miejsc przeznaczonych na tę barwę. Zmudna ta czynność powtarza się tyle razy, ile barw jest na rysunku, a zważywszy na różnorodność kolorów, jakiem się odznaczają wyroby te, zdołamy wytworzyć sobie zaledwie przybliżone pojęcie o niezmierniej akuratności prac tych fabryk i przyznać musieliśmy, że rzadko możemy się pochwalić tak cennym przymiotem, jaki posiada żółta rasa.



### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Jubileusz (z portretem). Baśń o wdowie i jej trzech synach, wiersz przez Deotymę. — Panna Marychna z Oporowa p.A. z Ch. Borkowską. — Z nad Dunaju, (ryc.) — Sfinks lodowy, przez Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Wyroby Jawańskie (z ryc.) — Dodatek: Zmartwienie Zosi, wiersz (z ryc.) — Przygoda Kazia przez A. Rzeszotarską — Opowiadanie babuni. — Wieszcza bzu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.



# WIECZORY RODZINNE



## Zmartwienie Zosi.

Ach, mój Boże! co ja zrobię —  
Płacze gorzko Zosia mała,  
— Siadłam chwilkę tu w ogrodzie,  
Bom się strasznie nabiegała,

I, doprawdy, nie wiem kiedy,  
Alem widać się zdrzemnęła,  
A tymczasem moja śliczna  
Nowa piłka gdzieś zniknęła.

Gdy tak płacze i narzeka,  
Śmiech wesoły się rozlega,  
I z za drzewka, z piłką w ręku,  
Mały Ludwiś wnet wybiega.

— Masz, siostrzyczko, swą piłeczkę,  
Nie chcę sprawiać ci przykrości,  
Ale widzisz, jak niedobrze  
Nie pilnować swej własności.

*J...a.*



## Przygoda Kazia.



Pewnego dnia Kazio zobaczył przez okno swego pokoju mularza, jak wkładał do drewnianej skrzynki białe bryły, podobne do kredy, polewał je wodą i mięszał łopata. Podobało się to zajęcie Kaziowi, wybiegł na podwórze, chwycił długi kij, i dalej pomagać mularzowi. Napróżno mularz prosił Kazia, aby sobie odszedł i nie przeszkadzał mu w pracy, nieposłuszny chłopiec pozostał, nie przestając uderzać kijem w białą masę. Bawiły go wyskakujące na wierzch bańki, jakie widział czasem na gotującej się wodzie. Nagle jedna z takich baniek pękła i obryzgała Kazia. Biedny chłopczyk zakrył twarz rękami i pobiegł z płaczem do pokoju, czuł nad oknem piekący ból, jakby od rozżarzonego węgla.

Gdy go mama zobaczyła płaczącego i dowiedziała się co się stało, wystraszyła się bardzo, obmyła mu zimną wodą twarz, która w kilku miejscach miała czerwone plamki, jak od oparzenia, i rzekła: oto widzisz, co spotyka upartych i nieposłusznych. To jeszcze bardzo szczęśliwie,

że skończyło się tylko na lekkim oparzeniu, gdyby te krople były wpadły ci w oko, mógłbyś na całe życie zostać kaleką.

Kazio słuchał ze zdziwieniem, gdyż nie rozumiał dobrze, co było powodem jego bólu, więc po chwili rzekł:

— Moja mamó, te białe kamienie mularz wrzucał do skrzynki rękami, nie mogły więc być gorące, a polewał je wodą ze studni, dlaczegoż więc ta masa tak parzy?

Mama tłumaczyła tak: Białe bryły, które mularz polewał wodą, to było wapno. Wapno kopie się w ziemi pod postacią białych kamieni, które wypalają potem w wielkich, umyślnie w tym celu budowanych piecach. Wapno takie po wyjęciu z pieca nazywa się palonem. Gdy go mularz chce użyć do budowy, wrzuca wypalone bryły do skrzyni i polewa je wodą. Wtedy dzieje się w skrzyni coś niezwykłego. Choć kamienie te dawno już ostygły, łącząc się z wodą, rozgrzewają się silnie, woda zaczyna się poruszać, szumieć, robią się na niej, jak to



sam widziałeś, bąble, jak gdyby się gotowała na ogniu. Wtedy mularz mięsza to łopata na długim kiju, aby się nie oparzył, tak długo, aż wszystko zmiesza się w białą masę, podobną do ciasta, która to masa powoli ostyga. Ta robota nazywa się gaszeniem wapna. Potem do masy tej dodają trochę piasku i używają przy stawianiu domów do spajania cegieł. Po wyschnięciu wapno takie jest twarde jak kamień.

Kazio słuchał tak uważnie, iż prawie zapomniał o bólu, a gdy mama mówić skończyła, ucałował ją i obiecał, że opowiadanie jej zapamięta, a do mularzy, gaszących wapno, zbliżyć się nie będzie.

*A. Rzeszotarska.*

## OPOWIADANIE BABUNI.

— Babuniu droga, opowiedz nam i dzisiaj jaką ciekawą historię z dawnych lat swoich, jak nam opowiadałaś przeszłych wieczorów — mówiła trzynastoletnia Zosia, całując w kolana staruszkę, siedzącą w wygodnym krześle przy kominku, rozpalonym suchemi drewnkami, i wiążącą pończoszkę.

Na odezwanie się Zosi dwie jej młodsze siostrzyczki, Wańdzia i Julka, podbiegły i przyłączyły prośby swoje do próśb najstarszej siostrzyczki.

— Cóż wam opowiem, lube moje dziatki? Każdego wieczora coś opowiadałam, wyczerpało się nareszcie, i wątpię, czy się co jeszcze odgrzebie w pamięci.

— O! znajdzie, znajdzie babunia — wołały dziewczynki jedna przed drugą.

— Usiądźcież cicho, ja pomyślę i może jeszcze przypomnę co sobie.

Dziewczynki usiadły cichutko, wpatrując się z oczekiwaniem w oczy babuni.

Po chwili zaczęła babunia:

— Było to niebardzo dawno, bo zaledwie na lat kilkanaście przed urodzeniem się Zosi. W niewielkim miasteczku mieszkali państwo Żarscy, ludzie niebogaci, gdyż pan Żarski miał posadę niezbyt wysoką; mieli jedyną tylko córkę Jadwisię, leniwą niezmiernie do nauki i roboty, upartą, nieposłuszną, biegającą tylko z kąta w kąt i robiącą psoty. Rodzice ją napominali ale pomimo codziennych przyrzekań poprawy, nigdy lekcji nie umiała, cenzurkę miała najgorszą i upór z każdym dniem większy. Martwili się bardzo rodzice, przekładali jej potrzebę nauki i że im coraz trudniej przychodzi za nią płacić. Jadwinia płakała, przyrzekała, a rodzice mieli nadzieję, że się upamięta, lecz napróżno trzy lata oczekiwali. Wkrótce przyszła ciężka chwila: pan Żarski stracił posadę, zapasu pieniędzy prawie nie było, pomimo to z ostatka łożył na naukę Jadwisi, która z wad się swych nie otrząsała i jak pierwiej nic się nie uczyła. Nareszcie zapas pieniężny zaczął się wyczerpywać, napróżno pan Żarski starał się o jakie zajęcie, nic nie mógł dostać. Wprawdzie wiele osób w interesach swoich do niego się udawalo poradę, bo był to człowiek bardzo rozumny, udzielał jej, ale ci, co do niego się zgłaszali, najczęściej byli to ludzie niemajątni i bardzo

mało mogli mu zapłacić. Drząc więc na myśl, że nietylko na naukę Jadwisi, ale nawet chleba im zabraknie, umyślił wyjechać w inne strony, szukając szczęścia. Nie miał tu krewnych, gdyż jedyny brat jego zmuszony był wyjechać bardzo a bardzo daleko.

Wyjechali więc p. Żarscy do Wilna. Jadwisia uszczęśliwiona, korzystając z zajęcia się rodziców tak daleką przeprowadzką i zamieszania, nim się rozlokowali, ani zajrzała przez ten czas do książki.

Ale w nowem miejscu jeszcze trudniej było panu Żarskiemu; nikogo znajomego, pomocy znikąd, zmartwienie z Jadwisią, wszystko to razem rozwinęło cierpienie sercowe, i najniespodzianie dnia jednego, siedząc przy jakiejś pracy, upadł na poręcz krzesła i umarł.

Matka Jadwisi, osoba bardzo religijna, mężnie ten cios zniosła, ale Jadwisia czuła, że swoim złem postępowaniem przyspieszyła śmierć najdroższego ojca, płakała więc ciągle i postanowiła dalszem postępowaniem zostać pociechą matki. Wydobyła więc książki i wzięła się do pracy sama, bo matka już nie miała czem płacić za nią nauczycielce, stała się cichą i łagodną, nie skończyło się przecież na jednym nieszczęściu. Pani Żarska na pogrzebie męża przeziębła a nie mając kim się wyręczyć w uprzywilejowaniu interesów, nie zapobiegła chorobie i we dwa tygodnie zapadła na okropną gorączkę, a w pięć tygodni Jadwisia została zupełną sierotą. Jadwisia, zobaczywszy martwe ciało matki, nie rozumiała co się z nią dzieje, nawet płakać nie mogła, siadła w kąci i tak siedziała z wlepionemi oczyma w matkę, leżącą, bladą, wynędzniałą, z obrazkiem w ręku. Widziała, że jacyś nieznajomi ludzie ciągle wchodzili i wychodzili, że jakieś kobiecinki śpiewały pobożne pieśni i obsiadły tapczan, na którym matka leżała. Straciła świadomość o wszystkim, co się z nią dzieje, i wtedy dopiero odzyskała przytomność, kiedy się znalazła w mieszkaniu jednej z tych staruszek które czuwały i modliły się przy zwłokach matki. Otworzywszy oczy, ujrzała się w izdebce bardzo biednej, niedaleko stały butelki z lekarstwami. Nie mogła pojąć, gdzie jest i zaczęła przypominać sobie wszystko. I stanął jej przed oczyma pogrzeb ojca, zwłoki matki, rozmaici ludzie i nic więcej. Poruszyła się na łóżku silniej; staruszka poszła i podeszła.

— Jakże ci, biedaczko, czy lepiej?

— Powiedźcie mi, proszę, gdzie ja jestem, i co się ze mną dzieje?

— E, moje dziecko — odpowiedziała staruszka — dowiesz się w porę jeszcze o wszystkim; ot, staraj się być spokojną, wyzdrowiejesz, to ci wówczas opowiem.

Jadwinia niecierpliwie odwróciła głowę i zamknęła oczy udając, że spi. Staruszka odeszła do swojej roboty, a Jadwisia myślała — i powoli domyśliła się wszystkiego. Zaczęła mocno płakać. Na to łkanie podeszła staruszka, a Jadwisia z czułością ujęła grubą, spracowaną rękę i przycisnęła do ust — i tym uściskiem powiedziały sobie wszystko, to jest: że Jadwisia jest sierotą, a biedna staruszka jej opiekunką.

(d. n.)



# WIESZCZKA BZU.

(Kochanemu Józikowi M. ofiaruje autor).

(Dalszy ciąg).

— No — rzekł — długo już żyję na świecie, ale nikt mi jeszcze nie zarzucił, że psuję drzewa, toż żebym owadów, które je toczą, nie wybrał, toby je daleko więcej popsuły. Ale cóż robić, kiedy taka wola pańska. Żyć się inaczej nie potrafię, wiele jest dzięciołów, wszystkie tak samo robią, nie zostaje więc nic innego, jak szukać gdzie indziej utrzymania.

I rozwinąwszy skrzydła, odfrunął daleko, a z nim i inne dzięcioły, które żyły w tym ogrodzie.

Szkarłatka, wstawszy dość późno, dowiedziała się, że dzięcioły odfrunęły.

— Mniejsza o to — rzekła — będzie przykład dla innych, że moja wola jest nieodwołalna.

Zastawiono jej przepyszne śniadanie, Szkarłatka nie zapytała nawet o Szafirkę, pomyślała tylko:

— Czy nie rozumnie zrobiłam, podejmując się rządów? Albo to ja nie potrafię dawać sobie rady. Dzięcioły robiły szkodę, więc je wypędziłam, oho! niech mi się tylko kto spróbuje sprzeciwić.

Jeszcze nie skończyła śniadania, gdy Fioletowa Ostróżka weszła, oznajmiając, że jakiś ptak prosi o posłuchanie.

— Niech wejdzie — rozkazała księżna.

Fioletowa Ostróżka wprowadziła ptaka, prawie tak dużego, jak szpak. Pierze miał na grzbiecie jasno-popielate, na piersiach białe, skrzydła i ogon czarne, dziób zakrzywiony i czarną kreskę koło oczu, skłonił się pokornie Szkarłatce i niezbyt melodyjnie zaświegotał:

— Dostojna pani, przychodzę pokornie prosić waszej książęcej mości, aby raczyła mi pozwolić osiedlić się w tym ogrodzie, gdyż powietrze tutejsze nadzwyczaj służy memu zdrowiu.

— Kto jesteś? — spytała dziewczynka.

— Nazywam się Srokosz, jestem z znacznej i ogólnie szanowanej rodziny Dzierzb \*). Nie śmiałybym cię miłościwa pani niepokoić, ale wiem, jak jesteś łaskawą i mądrą, więc chciałbym przy sposobności złożyć ci moje uszanowanie.

Szkarłatka aż pokraśniała z zadowolenia i, aby się okazać łaskawą, odpowiedziała uprzejmie:

— Z miłą chęcią zezwalam na pobyt wasz u nas i życzę wam dobrego zdrowia.

Srokosz skłonił się głęboko i wyszedł, podskakując ptasim zwyczajem.

Szkarłatka dumna ze swojej władzy, zwróciła się do swoich panien dworskich.

— Chcę teraz obejrzeć ogród kwiatowy — rzekła wyniośle — oprowadźcie mnie.

Służebne skłoniły się, Czerwona Firletka i Biała Konwalia podniosły kotarę namiotu i zaczęły oprowadzać Szkarłatkę pomiędzy trawnikami, na brzegu których bie-

gły rabaty. Szkarłatka patrzyła na bratki, stokrotki, aurykle, fiołki, irysy i wiele innych, których imienia nawet nie знаła. Miała znowu ochotę wydać jakiś rozkaz, tylko nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie spostrzegła, że ziemia sucha jest, a słońce silnie dogrzewa.

— Gdzie jest ogrodnik? — zawołała — cóż za niedbalstwo, żeby kwiaty nie były podlane.

Mały, siwy i zgarbiony człowieczek stanął przed nią i, trzymając w ręku czapkę, rzekł z uszanowaniem:

— Kwiaty podlewałem wczoraj wieczorem, dostojna pani i dziś je zaraz podleję, skoro słońce zajdzie.

— Cóż za dziwna myśl, żeby podlewać kwiaty, kiedy chłodno. Właśnie powinno się je podlewać wtedy, kiedy gorąco, dla ochłody.

Ogrodnik chciał przemówić, ale Szkarłatka przerwała:

— Taki jest mój rozkaz; chcę, żeby kwiaty były podlewane w południe; a w myśli dodała: — to pewnie jakiś stary próżniak, powiada, że podleje później, a pewnie nie podlałby wcale. Jak też to w każdy szczegół trzeba wejrzeć.

Ogrodnik skłonił się i zapytał o rozkazy co do nowych rabatek i nowych kwiatów, które zasadzić miano. Szkarłatka wydała bez wahania rozkazy, nie wiedząc wcale, jakiego gruntu dany kwiat potrzebuje, i czy mu służy cień czy światło.

Na granicy ogrodu był wielki staw; pluskały się w nim karpie, których był pelen.

— Czy innych ryb niema w tym stawie? — spytała nowa księżna.

— Nie, dostojna pani, same karpie.

— Czemuż niema szczupaków naprzykład?

— Nie wiem, miłościwa księżno, może dlatego, że Wieszcza niedawno dopiero zaczęła się tym stawem zajmować — odpowiedziała Biała Konwalia.

— Nie miała czasu pewnie — pomyślała Szkarłatka — muszę sama to zrobić, przecież szczupaki są rybami bardzo cenionymi.

I głośno dodała:

— A więc rozkazuję przekopać rów do rzeki, aby szczupaki mogły przepłynąć, i proszę im oznajmić, że je uprzejmie do siebie zapraszam.

Biała Konwalia pobiegła do sług książęcych powtórzyć rozkaz, a Szkarłatka wróciła do namiotu, aby spożyć obiad.

Podano właśnie wety, kiedy jej oznajmiono, że dwoje zwaśnionych przyszło na skargę.

Szkarłatka widząc, że będzie musiała rozsądzać spór, przybrała bardzo poważną minę i kazała ich wprowadzić. Wleciał śmiało duży czarny wróbel, i wsunęła się mała jaskółka.

— Dostojna pani — zaczął wróbel — przychodzę prosić o łaskawe wymierzenie sprawiedliwości. Od zimy zajmuję gniazdo pod dachem altanki, a ta oto jejmość, wróciwszy z zamorskich krajów, chce mi je odebrać i śmie utrzymywać, że mój dom jest jej własnością.

(d. c. n.)

\*) Dzierzba Srokosz (*danius excubitor*).



### SZARADA.

Czwarte i pierwsze z pędem czasu biegną,  
 Młodość i starość w ślad z niemi ulata,  
 Lecz nieraz *drugich* w ciosach bólu złęgo  
 Trudno zagoić, gdy zbyt wielka strata;  
 Bo mniej bolesne są zadane stałą,  
 Niż te, co żarem w ludzkim sercu palą.  
 Miejsce w pobliżu wskazuje nam *trzecie*,  
 Wszystko jad w sobie zjadliwy ukrywa,  
 Ze szczelin ziemi czasem się dobywa  
 Nóg ma par cztery, włos szary na grzbiecie  
 Ród jej oddzielnie w nauce stawiany,  
 Liczny w odmianach i powszechnie znany.

#### ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Ułożyła czytelniczka Wieczorów.

- 1) Spółgłoska.
- 2) Ptak śpiewający.
- 3) Królestwo w Europie.
- 4) Rzeka w Syberii.
- 5) . . . . .
- 6) Ptak z rodzaju grzebiących.
- 7) Najwyższy minister w Turcyi.
- 8) Dopływ Wolgi.
- 9) Samogłoska.

Środkowy rząd oraz środkowe litery, utworzyć po-  
winny nazwisko muzyka i kompozytora polskiego.

#### ZADANIE ARYTMETYCZNE.

Ułożył Matematyk.

Pewien pobożny człowiek, mieszkający niezbyt da-  
 leko od kościoła, chcąc przedłużyć i utrudnić sobie piel-  
 grzymkę do niego, poszedł raz w ten sposób, że po ka-  
 żdych dwóch krokach naprzód robił jeden w tył. Odle-  
 głość od progu chatki, z kąd zaczynał pielgrzymkę, aż do  
 bramy kościelnej, gdzie ją kończył, wynosiła równą milę,  
 każdy zaś krok pielgrzyma tak naprzód, jak i w tył, miał  
 długości jeden arszyn.

Ile kroków robił pielgrzym, idąc zwyczajnie, a ile  
idąc w powyżej wskazany sposób?

#### ROZWIĄZANIE DO N-ru 20-go

Szarady: Ka — ro — li — na.

Arytmografu:

- 1) Koran. 2) Reni (Guido). 3) Ale. 4) Sztokholm.
- 5) Zajęc. 6) Egle. 7) Władysław. 8) Saloniki. 9) Królewiec.
- 10) Inowódz.

Kraszewski — Niemcewicz.

### Łamigłównki w kwadracie:

K a n d y a  
 M a d r y t  
 D o n i e c  
 P i ą t e k  
 W i k t o r  
 S a t u r n

### Skrzynka do listów.

Pisząc o przysłanie początku powieści zapomniał *Zajęc*  
podać swój adres, wskutek czego wysyłka jest niemożliwą do czusu,  
póki *Zajęc* adresu nie przysśle.

*Strzelec* z nad Warty przysłał dobre rozwiązanie szarady.  
Arytmogryf odłożyliśmy do przejrzania.

Ofiarę Janiny, Róży i Zofii rs. 5 odesłaliśmy Komitetowi Ko-  
lonii letnich.

Bardzo miłe wrażenia zrobił na nas list *Wieśniaka* i bodaj  
jak czyste i staranne pismo, tak dobre musi być to serce, które  
wzdryga się na myśl dokuczania biednym, bezbronnym istotom, ja-  
kiemi są pisklęta w gniazdach.

Łamigłównka geograficzna *Szarego Wilczka* jest dobrą. Re-  
dakcja chętnie przyjmie więcej podobnych, jeśli Wilczkowi rozryw-  
ka ta nie przeszkadza w naukach.

Dobre rozwiązania zagadek i łamigłówek nadesłali. *Adzia D.*  
*Andzia M.*, *Helenka* i *Kamillek*, *Sokołek*, *Myszka polna*. *Józio R.*,  
*Władysław*, *Cyganczka*, *Ramzes* i *prenumeratorka F. N.*

Łamigłównka *Franis* i *Geni K.* nie ma rozwiązania, nadto  
znajdujemy w jej układzie pewne błędy.

Wierszyk *Słowianina* ma jeszcze wiele usterków, jak za-  
zwyczaj utwór młodocianego autora, który przedewszystkiem do  
nauki przykładać się powinien. Każda bowiem umiejętność przy-  
wrodzonych zdolnościach, doskonaleni się tylko nauką i pracą. Pro-  
simy zawsze o przysłanie nam nie tylko prób wierszyków ale i pro-  
zy, która łatwiej przychodzi i jest zarazem pożyteczniejszą w życiu.

Pseudonym twój, kochana *Laszko* bardzo mi się podobał, za-  
pisałam go sobie w pamięci i wystarczy mi bez dodatku rodzinnego  
nazwiska. Jeżeli z konieczności muszę się trzymać miejskich murów  
jednak z wielką radością poleciałabym hen daleko, by się ucieszyć  
tą pięknoscia przyrody którą bodaj wspólnie wielbimy i podziwiamy  
jak się tego domyślam z kilku słów twego listu. A teraz, gdy  
pierwsze między nami lody przełamane, nie zapominaj o zasylają-  
cej ci szczerze pozdrowienia

Listy wasze, kochana *Olenko* i *Magdziu* z Mławy odebrałam  
obecnie, to jest w miesiąc po ich napisaniu, dlatego więc dopiero  
dziś na nie odpowiadam. Dziękuję wam za przysłane mi życzenia  
równie jak *Tola* i *Niunia* za pamięć o nich. Żałują one także, że  
was nie spotykają i równie jak ja radehy widzieć nie tylko was ale  
Dzibę i waszych braci, o których wszystkie wiadomości bardzo nas  
zajmują. Pani D. za pamięć wam dziękuje. Wystawiam sobie jak  
ciekawe być muszą powieści: „Trzej rozbójnicy” i „Rycerz z Ta-  
nenburgu” i radabym je przeczytać. Listy wasze dołączyliśmy do  
prób kaligrafii bo porządnie napisane.

Rzeczywiście, kochana *Perełko*, lekkie moje skrzydła unoszą  
mnie często w bardzo dalekie strony, czy jednak zwiedzałam kiedy  
i twoją rodzinną okolicę, zapewnić cię nie mogę, nie wiedząc dotąd  
gdzie właściwie mieszkasz. Napisz mi zatem więcej szczegółów  
o sobie w przysłym liście, o który proszę.

Witam cię *Primulko* z P. jako nową znajomą i proszę bądź  
względem mnie z całem zaufaniem i prostotą, to i przyjaźni zawią-  
że się między nami. Łamigłównki swego utworu przysyłaj zawsze  
chociażby nie wszystkie mogły być drukowane. Załączone rozwią-  
zania łamigłówek są dobre.

*Jaskółka.*